

№ 33 Rok XXII.

Dnia 4 (17) Sierpnia 1901 r.

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



*Najświętsza Panna z Dzieciątkiem.*

*Z obrazu Murilla.*



## LEGENDA.

Chociaż Najświętsza Panna wiedziała, że ta, co się spełniło, spełnić się musiało, serce Jej siedmiu mieczami przeszyte, wciąż było bolejące i srodze nad śmiercią Swego Syna cierpiało.

Szła tedy sobie po świecie a łzy z Jej oczu spływały jako krople dżdżu na wiosnę. Bodaj nawet, czy te łzy nie przyczyniły się do opłukania ziemi nie tylko z zimowej gru dy, ale i grzechów ludzkich. Z początku zaraz, po złożeniu do grobu Pana Jezusa, gdzie tylko łezka Najświętszej Matki upadła, tam wyrastała trawka zielona a z pod niej wychylały się liliowe i białe kwiatki, a tych łez musiało być wiele, bardzo wiele, gdyż cała ziemia pokryła się najśliczniejszym kwieciem.

A kiedy owe kwiatuszki spostrzegły Najświętszą Matkę, że taka smutna i tak wciąż łzy roni, tedy zaczęły między sobą szeptać i radzić:

— Padła na mnie Jej łezka, a z nią i błądy promyk słonka, to zaraz z pod śniegu okryłem się w liliową sukienkę — mówiła sasanka.

— A na mnie z temi łzami przyleciała taka wonność i takie smutki, żem się odział w ciemno-fioletową sukienkę i ukryłem się między trawę, żeby innym smutku nie przyczyniać, — mówił, westchnąwszy fiołek.

— Mnie było zimno bardzo, aż Najświętsza Matuchna, stanąwszy nad łąką wilgotną, otuliła mnie płaszczem błękitnym, a zaraz też i słonko z wysokiego nieba raźniej spojrzało. Zrobiło się też w meim sercu ciepło, spojrzałem na świat weselej; aż wtedy Matuchna Boża westchnęła i rzekła:

— Nie zapomnę, nie!

— I oto od tego czasu mam rąbek Jej płaszcza na sobie, złotem oczkiem na świat spoglądam, a kto uszczknie mój kwiatuszek, zaraz powiada:

— Nie zapomnę, nie!

— Eh, co tam wciąż smutek i smutek przypominać Matce Najświętszej — przerwał złoty jaskier. Rozweselmy Ją oto lepiej i uścielmy drogę najbarwniejszym kwieciem.

— Prawda, miała Ona już smutków dosyć i oczki już wyplakała, niechaj dojrzy, że nam dobrze i błogo, to się Jej serce jakoś pocieszy! — mówiła liliowa macierzanka, rozgospodarowując się szeroko na miedzy i rozsiewając ze swych maleńkich kwiatków woń dokoła.

— — Dobrze mówi siostra macierzanka — zawołał, wychylając główkę z pomiędzy żyta bławatek.

— Uścielmy Jej drogę — uścielmy Jej łóżę! — wołały ze wszystkich stron kwiaty i zioła.

Zaraz też powstał szum wielki, rozkwitły wszystkie pola i łąki, rozmaite barwy błyszczały po miedzach i przydrożach, aż weselej i rozkoszniej zrobiło się dokoła.

Ale tego szumu nie uczyniły drobne kwiateczki, co się chyliły pod nóżki Najświętszej Pani. Szum ten uczyniły krzewy i drzewa, które okryły się białem i bladoróżowym kwieciem.

Uczyniły go też i wszelkie zboża; zwarte ze sobą podnosiły się coraz więcej, ażeby zobaczyć, jak też to Najświętsza Matuchna stąpać będzie po owych rozkwitłych mie-

dzach. A Ona ujrawszy wszystko tak rozkwiecione, uśmiechnęła się nieco i westchnęła.

— Dajże też o Panie radosne życie owym roślinom, co pragnęły dni moje uweselić.

I rozglądała się Boża Matuchna po świecie i coraz to w smutku swoim uśmiechnęła się, patrząc na owe pola.

A gdy się Matuchna uśmiechała to słońce zaraz smugą promieni kładło się po łąkach, złocąc je i ogrzewając. A gdy Matuchnie serce wezbrało i łza kapnęła Jej z oczu, spadała rosa niebieska, orzeźwiając znużone upałem rośliny.

Aż przyszła chwila, że krzewy zarumieniły się pogodą, a drzewa uginały gałęzie pod ciężarem owocu.

Łany srebrzyły się i złociły, chyląc ku ziemi pełne ziarna kłosy.

Sama też pora po temu, żeby z ziarn tych i owoców człowiek zbierał plony — pomyślała Matka Najświętsza — Widziałam, że w niejednej chacie ostatnią garść zboża wzięto na pożywienie i ostatnim kęsem chleba obdzieliła matka dzieci.

Widziałam też ludzi przez czas długi schylonych na łanie, słusznie żeby z pracy swej plon zebrali.

I zawołała Boża Matuchna wszystkie ptaszęta, a te nad głową Jej się unosząc, każde swoim głosem ciskać i świegotać poczęło.

Chwilę albo i dwie wśluchiwała się w ich głosy a potem rzekła do szarej, niepozornej ptaszyny:

— Idź i wołaj ludzi do żniwa!

Wtedy całe stado przepiórek rozleciało się po polach i wołały zaraz po swojemu:

— Pójdźcie żąć! pójdźcie żąć!

Zabrzękły kosy, zabłysły sierpy, migocąc się w słońku, lud schylony na łanie, pracował, pot spływał mu z czoła, lecz pieśnią przerywał sobie pracę.

Padwały pod ich cięciem kłosy i wkrótce stawały snopami.

A lud przyspiewywał sobie o złotej pszenicy, o srebrnem życiu, o tych, co daleko i nie dano im stanąć na łanie...

I prosił Bożej Matuchny o opiekę nad polami i nad dzieciątkiem, co śpi w kołysce, i nad tą chatą, z której dym płynie ku niebu, i nad żebrakiem, co śpiewa pod krzyżem; nad tymi co blisko i nad tymi co daleko; nad wszystkimi. A Najświętsza Pani, chodząc po miedzach, patrzyła na ludzką pracę i uśmiechając się łagodnie, wdychała do Synaczka swego, żeby temu ludowi pobłogosławił.

Aż dnia jednego zaszła na wzgórek, co właśnie z niego sprzątnęli żyto.

A że wzgórze było dość strome, zmęczyła się, usiadła na rżysku i zasnęła.

Pan Jezus, co wszystko widzi, ujrzał też i Matuchnę swoją, a ujrawszy pokiwał głową i pomyślał sobie:

— Dosyć się już nabiedowała i namartwiła, czasby Jej było spocząć!

Zaraz też zawołał na Anioła, co wedle Jego tronu na służbie był wtedy i wskazawszy śpiącą zapytał.

— Widzisz?

Anioł wejrzał w onę stronę i skłoniwszy się pokornie, czekał dalszych rozkazów.

A Pan Jezus rzekł:



— Zleć z towarzyszami na ziemię ku śpiącej i uniescie ją do Nieba.

— A pamiętajcie sprawiać się cicho, żeby się ze snu nie obudziła! — upomniął.

Zaledwie to wyrzekł, aniołowie cicho, bez najmniejszego szelestu, spłynęli ku ziemi i ująwszy Najświętszą Pannienkę, wzbili się z Nią na skrzydłach ku niebu.

A że to było wczesnym bardzo rankiem i ludzie jeszcze do roboty nie przyszedli, zdziwili się więc przyszedłszy dla zagrabienia ostatków, że po miedzach i polach odrazu zniknęło wszelakie kwiecie i wonności żadnej już niema.

Smutno im się zrobiło, westchnął jeden i drugi i na pocieszenie spojrzeli ku górze.

Aż tam ujrzeni we mgle porannej i w złotym słońcu, co tę mgłę złościło, Matkę Najświętszą na skrzydłach aniołów wznoszącą się do Nieba.

Tak tedy jak stali, padli na kolana i poczęli ręce ku Niej wyciągać, wołając:

„O najwonnejsza lilijo!

O w Niebo wzięta Maryo!”

Dziewczątka zaś, sieroténka, która przyszła zbierać pokłosie, wołała:

„Módl się za nami, módl za sierotami.”

A echo po całej tej ziemi rozbrzmiewać poczęło:

„Módl się za nami. Módl za sierotami.”

I powiadają ludzie, że w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Panny, raniutko, gdy świat cały we mgle jeszcze spoczywa, niektórym sprawiedliwym, a zwłaszcza sierotom danem bywa ujrzeć w promieniach słońca, unoszoną przez aniołów Matuchnę Bożą i słyszeć w przestworzu głosy z ziemi:

„Módl się za nami! módl za sierotami!”

Z. Morawska.

## WAKACYE W WARSZAWIE

POGADANKI O ARCHITEKTURZE

przez

**Waleryę Marrené - Morzkowską**

(Dalszy ciąg).

— A jakże je rozpoznać? — spytał zafrasowany Tadzio, który lubił, by rzecz każda była określona i wyraźna. Choćby najchętniej znał cechy stylów, czy ja mogę wiedzieć, kiedy co dodano i przerobiono.

— Dzisiaj wiedzieć takie rzeczy nie trudno, bo wszystkie znakomitsze gmachy, opisane są szczegółowo w przewodnikach i historyach sztuki wraz z datami, w których powstały i spisem tego, co im później dodano. Ale były epoki przejściowe, kiedy sam budowniczy wahał się między dawnymi a nowymi kierunkami i tworzył dzieła pośrednie.

— Chciałabym takie zobaczyć — zawołała Halinka.

— Może i zobaczymy. Takie budowle w stylu przejściowym, spotykamy szczególnie w epoce początków gotyzmu, ostrołuki wciskają się naprzód do sklepień, gdyż

doświadczono, iż takie sklepienia są mocniejsze od zwykłych kolistych czyli kolebkowych, ostrołukami zakończone są nieraz wąskie romańskie okna, a znów czasami, przy gotyckich sklepieniach są wielkie okna zasklepione kolisto.

— Rozumiem — wyrzekła Halinka — trzeba uważnie patrzeć, nie pomijać żadnego szczegółu a jeszcze znać historię każdego gmachu. Jak to dobrze, że nas ojciec nauczył patrzeć.

— To niby nie trudno — dodał Tadzio — a przecież tyle lat chodziliśmy po Warszawie napróżno, jak głupi.

— Byliście jeszcze zupełnymi dziećmi.

— Tak, jeżeli czego w Warszawie nie widzieliśmy dotąd, to możemy jeszcze codziennie zobaczyć — mówiła Halinka — ale kiedy podróżując za granicą zwiedza się jakie miasto, gdzie można nigdy już nie być, to tak, jak żeby go się wcale nie widziało.

— To też dzieci powinny tylko jeździć za granicę jeśli tego wymaga ich zdrowie, lub jakie okoliczności rodzinne, bo nie mogą mieć pożytku z rzeczy, których nie pojmują.

— Ojciec nam już tyle ciekawych rzeczy pokazał.

— Trzeba tylko umieć patrzeć — poważnie zawyrokował Tadzio.

Pan Jaczyński się uśmiechnął.

— Moje dzieci, wszędzie jest coś do widzenia, ale swoją drogą nie można porównywać Warszawy, która jest stosunkowo bardzo świeżym miastem, ze starożytnym Krakowem. W Krakowie mamy zabytki romańskie i gotyckie bardzo piękne.

— A w Warszawie? przecież ojciec nam pokazywał już dawne gotyckie kościoły, a nawet i romański św. Augustyna — zawołała Halinka.

— Widzicie, to są kościoły w stylu romańskim i gotyckim, ale wcale nie sięgają czasów, kiedy te style rozwijały się i kwitły. Dzisiaj stawiane według dawnych czasów, mogą pod względem piękności i czystego stylu przewyższać nawet starożytne, ale pomimo to nie mają nigdy tego znaczenia, co istotne dzieła dawnej epoki, na które zapatrują się naśladowcy. W Wiedniu jest postawiony przed kilkudziesięciami lat gotycki kościół wotywny, zdobny jakby marmurówką keronką, a przecież nie dorówna on staremu tumowi św. Stefana, któremu też można mu to i owo zarzucić.

— A do kościoła nie wejdziemy? — pytały dzieci.

— Owszem. Ale wewnątrz nie jest jeszcze wcale skończony. Widzę, że kręcą się robotnicy, drzwi boczne stoją otworem, a dochodzi się do nich po desce położonej na kałużu, powstałej po wczorajszym deszczu.

— I drzwi główne założone deskami — zauważyła Halinka.

— Ale za to w oknach są już malowane szyby — spostrzegł Tadzio.

— Kościoły gotyckie — mówił pan Jaczyński — mają ogromne okna, przystoją im więc bardzo okna malowane, bo nie tylko stanowią one ozdobę, ale przyświecają żywe światło i nadają im półcień, sprzyjający modlitwie. W kościołach romańskich przeważnie były małe okna a wielkie przestrzenie murów, na których przystrojenie wysilała się średniowieczna fantazja, wymyślając potworne zwierzęta i dziwaczne rysunki, które daremnie dzisiaj staramy się rozwikłać i wytłumaczyć.



— Ojcie, tutaj nietylko okna ale i wnętrze kościoła jest ślicznie malowane — zawołała Halinka, zatrzymując się zachwycona przy wejściu. Tylko jeszcze nie całe.

Ojciec poprowadził ich do prezbiterium, które już dawno pojęcie o całości, mówiąc:

— Teraz powiedzcie mi, co was tutaj najprzód uderza?

— Malowania — zawołały razem.

— Myślałem — odparł ojciec — że zaczniecie od początku i przede wszystkim zauważycie to, na czym znajdują się malowania.

— Prawda — wyrzekł trochę zawstydzony Tazio.



*Edward VI król angielski.*

— Są filary — zagadnęła szybko Halinka, — filary składają się z cienkich kolumnek, albo grubych lasek. Ale mają one złożone głowice, a wyglądają tak, jakby okrażały wieńcem gruby filar, potem rozkładają się na sklepieniu i tworzą jego żebra, żebra są z cegły a sklepienie otynkowane.

— A wiele jest naw w tym kościele?

— Trzy naturalnie, nie rachując nawy poprzecznej, tworzącej ramiona krzyża.

— Dla czego mówisz naturalnie? — spytał pan Jacyński, bo chciał przyzwyczaić dzieci, by wyrażały się jasno i zwięźle.

— Bo wszystkie kościoły, które oglądaliśmy dotąd, miały trzy nawy podłużne.

— Prawda, ale nie idzie zatem, żeby tak było wszędzie, są kościoły podzielone na pięć naw podłużnych, są mające tylko nawę jedną, a kościół Pijarów obok katedry ma ich dwie tylko.

(d. c. n.)

## Przygody królewicza Edwarda.

przez M. St.

I.

### Spotkanie dwóch rówieśników.

Działo się to w Anglii pod koniec panowania Henryka VIII-go; w pierwszej połowie XVI-go wieku. Kraj cały zmęczony był surowymi rządami króla i wszystkie oczy zwrócone na młodziutkiego następcę tronu, którego łagodne i równe usposobienie wróżyło jak najlepszy charakter na przyszłość. Królewicz uczył się bardzo dobrze, chował się zdrowo, wszystkim się interesował, w godzinach wolnych od nauki bawił się wesoło; ojca choć kochał, ale bał się porządnie, często jednak prosił go o ułaskawienie jakiej ofiary, a srogi władca nigdy nie odmówił prośbie ukochanego syna. Wszyscy go też kochali serdecznie, gdyż jeden dzień nie przeszedł, aby królewicz nie naznaczył go jakim dobrym czynem, był on promieniem słońca na tle ponurego dworu Henryka VIII-go.

Tego samego dnia jesienno, którego ku wielkiej radości rodziców i całej Anglii urodził się upragniony królewicz Edward, w jednym z zaułków ówczesnego Londynu w brudnym, starym domu, stojącym w głębi ciasnego podwórza i zamieszkałym przez samych nędzarzy przyszedł na świat mały chłopczyna. Ochrzczono go imieniem Tomasz, a dwie starsze siostry Toma, owinąwszy go w różne galgany, bawiły się nim jak lalką.

Ojciec Tomasza Jan Canty był niestety złodziejem, a stara matka jego, która z niemi mieszkała żebraczką. Dwoje tych strasznych ludzi prawie co wieczór wracało do domu pijanych, i wtedy zaczynały się kłótnie, przekleństwa i bójki. Jak tylko Tom odrósł od ziemi, musiał z siostrami chodzić po żebranie a gdy nie przynieśli naznaczonej przez ojca kwoty, bito ich bez litości i o głodzie musieli iść spać na słomę która stanowiła całe ich poślanie.

W tem mrowisku złożonym z nędzników i nędzarzy, jakim był dom, w którym rodzice Toma zajmowali lichy pokój na trzecim piętrze, mieszkał prawdziwy sługa Chrystusa, ojciec Andrzej. Był on jednym z księży wygnanych przez Henryka VIII-go; schronił się tu między najbiedniejszych, utrzymywał się z dawania lekcji i codziennie gromadził w swej małej stancyjce po kilkoro podobnych jak Tom opuszczonych dzieci, ucząc ich pacierza, zasad wiary i moralności.

Tom, od pierwszej lekcji połykał każde słowo, wychodzące z ust zacnego kapłana; wkrótce nauczył się pacierza i różnych modlitw, czytać, pisać i rachować, a widząc ojca Andrzeja często pochylonego nad księgami, z których malec nic wyczytać nie mógł, gdyż były to łacińskie księgi, prosił swego dobrodzieja, aby go uczył po łacinie. Ojciec Andrzej, widząc nadzwyczajną zdolność i chęć chłopczyny zaczął go uczyć tego języka i Tom w niedługim czasie czytał, rozumiał a od biedy mógł się rozmówić po łacinie.

Okropną wtedy stała się żebrania dla biednego Toma, na którą wysyłał go ojciec. Spełniał chętnie wszelkie posyłki i usługi, aby tylko nie wyciągając ręki, zarobić wymagane przez ojca pieniądze. Jakiż był szczęśliwy, gdy mu się to udało, biegł wtedy pędem do ojca Andrzeja na naukę, a później wczytywał się w jaką książkę, którą mu dobry ksiądz pożyczał. Tom przez częste obcowanie z uczonym tym człowiekiem, czytanie i ciągle przebywanie myślą wśród książkowych bohaterów, zaczął mówić i postępować zupełnie inaczej jak jego towarzysze zabawy. Matka i siostry zaczęły go uważać za coś wyższego, sąsiedzi prosili go nieraz o przeczytanie lub wytłómaczenie czego nierozumieli, tylko ojciec i babka nie robili żadnej różnicy



i chłostali bez litości, gdy brakowało choć jednego pensa z wymaganych pieniędzy. Bywało ojciec Andrzej opowiada Tomowi historię o dawnych królach i książętach, a później Tom, bawiąc się na podwórzu z chłopcami, odgrywał rolę władcy lub bohatera. Towarzysze zabaw ślepo go słuchali, gdyż zdolny chłopiec tak rozsądne dawał rozporządzenia, z taką powagą sądził sprawy i rządził swoim dworem i wojskiem, że przy zajmującej zabawie, głodna ta zgraja biedaków zapominała o swej nędzy, przejmowała się wraz z Tomem swą rolą i podwładni czuli się naprawdę wojakami lub dworzanami, a Tom panującym księciem. W rozbudzonej wyobraźni chłopca powstało jedno życzenie, aby choć raz w życiu zobaczyć prawdziwego księcia.

Dotąd Tom nie był nigdy poza obrębem miasta; Charing Cross, dziś tak ożywiona część Londynu, była wtedy spokojną wioską, zadziwił chłopca znajdujący się tam wspaniały pałac kardynała, a uszedłszy trochę dalej stanął jak wryty przed ogromnym zamkiem królewskim. Potężna kamienna brama ze złożoną kratą, straż broniąca wejścia, od stóp do głów odziana w błyszczącą zbroję, okazała po jazdy wjeżdżające i wyjeżdżające bocznymi bramami z zamkowego podwórza dały mu poznać, że tu musi mieszkać naprawdę król. Serce zadrżało mu z radości, gdy pomyślał, że gorące jego życzenie może się teraz spełni: Powolutku przesunął się poza plecami straży, przysunął do kraty i ujrzał — pięknego chłopca w jego wieku, ubranego w atłas



*Widok zamku w Krakowie z XVI w.*

Pewnego zimowego wieczoru gdy wrócił do domu zziębnięty, przemokły i głodny, dostał kulaka od ojca za brakującego pół pensa, i o głodzie poszedł spać. Nie mógł usnąć gdyż febra go trzęsła z zimna, dopiero gdy babka i ojciec zasnęli, biedna matka Toma po cichutku przyniosła i dała mu kawałek chleba, który schowała dla niego, okryła go starym, ciepłym kaftanem i chłopiec zasnął. Jakby na osłodę smutnej rzeczywistości przyśniło mu się, że był księciem, przechadzał się po złożonych komnatach, sam ubrany w purpurę i złoto rozmawiał ze wspaniałe odzianymi dworzanami, łaskawie kiwał głową witającym go panom i rycerzom — słowem sen przewyższył jego życzenie, bo nie tylko widział dwór królewski, ale sam był księciem. Niestety, rano rozwiął miłe marzenie, nigdy jeszcze dotąd nędza jego nie wydała się Tomowi tak straszną, jak tego ranka, gorzkimi zalał się łzami, a choć nie dostał jak zwykle śniadania, nie czuł dziś głodu i zamyślony wyszedł na miasto. Ludzie go popychali, on na to nie zważał, idąc wciąż przed siebie, aż znalazł się za murami Londynu.

i aksamit, na których błyszczało złoto i drogie kamienie, u boku miał kosztowną szabelkę a na głowie beret z wspaniałymi piórami, biegał zwinnie, uczył się robić broń, kilku wspaniałe ubranych panów bawiło się z nim.

Tom na ten widok o mało nie krzyknął z radości. Tak! to jest prawdziwy książę, pomyślał i zapatrzony w niego oparł się o kratę, lecz w tej chwili żołnierz go spostrzegł, silnie pochwycił za kark i odrzucił daleko, jak psa, mówiąc.

— A ty tu po co? plemię żebracze!

Tłum gapiów, stojący w oddali, zaśmiał się głośno, ale młody książę poskoczył do bramy i zawołał z oburzeniem.

— Jak śmiesz obchodzić się tak okrutnie z biednym chłopcem. Cóż on zrobił złego, że chwilę popatrzył! Otwórz bramę i wpuść go tu! Po tych słowach straż sprezentowała broń, tłum zawołał: niech żyje książę Walii, bram otwarto i Tom obdarty i bosy stanął przed księciem.



— Skrzywdzono cię, biedaku, — rzekł Edward Tudor, — chodź ze mną.

Kilku dworzan przyskoczyło ku nim, lecz książę odprawił ich skinieniem ręki, zaprowadził Toma do swego pięknego apartamentu i kazał mu przynieść śniadanie, na widok którego, pomimo całego zmieszania, głodnemu biedakowi oczy wesoło zaświeciły. Książę prędko odprawił służbę, aby im nie przeszkadzała, kazał Tomowi zabrać się do jedzenia, a sam siadł i uprzejmie rozmawiał ze swym skromnym gościem.

Spytał się go, gdzie mieszka, jak się nazywa, czy ma rodziców, a gdy Tom opowiedział, że musi zebrać i gdy nie przyniesie dosyć pieniędzy to chłostę dostaje nie tylko od ojca ale i babki, książę niezmiernie się oburzył i zawołał: dziś jeszcze każe te niedobrą kobietę wsadzić do więzienia.

Nie dziwiła go wcale surowość ojcowska, gdyż jak się wyraził i jego ojciec ma ciężką rękę, chociaż go nigdy jeszcze nie uderzył, ale gdy jest rozgniewany łąje ostro i książę boi go się porządnie. Wypytywał go o matkę i rodzeństwo, Tom mówił o dobroci matki i siostr, a zarazem o ich biedzie. Wzruszony książę powiedział, że zaraz każe im posłać piękne odzienie, gdyż poddani jego ojca nie powinni żyć w takiej nędzy, a gdy Tom dziękował mu, rzekł:

— Nie dziękuj, to mój obowiązek. Lubię z tobą rozmawiać, bo rozsądnie mówisz. Czy umiesz wiele?

— Albo ja wiem. Dobry ojciec Andrzej uczy mnie z łaski, i umiem czytać w jego wielkich księgach.

— Umiesz po łacinie?

— Rozumiem trochę.

— Ucz jej się pilnie, chłopcze, to nic, że trudna, greka jeszcze trudniejsza, a żebyś wiedział, jak moja siostra Elżbieta umie po łacinie i po grecku, choć ma dopiero czternaście lat. Ja bardzo kocham Elżbietę i kuzynkę Janinę Grey, ale starszej mojej siostry Maryi lękam się bo ona bardzo surowa i ponura, nigdy się nie uśmiechnie. A ty czy nigdy się nie bawisz z rówieśnikami?

— Bawimy się, proszę księcia, w żołnierzy, w kupców i rozbójników, w święta różni sztukmistrze pokazują sztuki z uczonemi małpami, za szelągą można się różności napatrzeć i uśmieć do woli. W lecie pływamy na wyścigi po rzece lub kanale, pryskamy wodą jeden na drugiego, dajemy nurka jak kaczki.

— Chciałbym choć raz tak pobawić się z wami! No, opowiedz mi jeszcze co o waszym życiu.

— Kiedy na pierwszego maja muzyka gra na Chapside, biegniemy tam, tańczymy, śpiewamy, piaskiem na siebie rzucamy — aż z wielkiej radości tarzamy się po ziemi, jak szaleni.

A żebyś ja choć raz w życiu mógł ubrać się tak jak książę — odrzekł nieśmiało Tom.

— Chciałbyś? Życzeniu twemu stanie się zadość. Zdejmę te łachmany, umyję się i uczesz przeciotko, i zamienię ci odzież. Ty będziesz na chwilę księciem Walii a ja tobą. Bawi mnie to przebranie.

W dziesięć minut później stanęli obadwaj przed wielkim lustrem, i o dziwo! Tom jak dwie krople wody podobnym był do księcia. Półki był czarny od brudu, rozczochrany i obdarty, wcale tego nie było widać, teraz umyty i ubrany w strój książęcy był sobowtorem wysoko urodzonego rówieśnika. Zdziwiony książę zawołał.

— Ależ ty zupełnie jesteś do mnie podobny, nikt by nie poznał, że ty nie jesteś księciem Walii. Co to za sińca masz na rękę? Czyżby ten dziki żołnierz?

— To nic, wasza cześć, ten biedny żołnierz spełniał...

— Okrutnik, ładnie spełniał! Czekaj, mam pewną myśl. Nie rusz się ztąd dopóki ja nie wrócę. Rozkazuję ci!

Wziął tylko coś leżącego na stole i schował do skrytki w murze, w minutę potem już był na dziedzińcu zamko-

wym. Pobiegł do głównej bramy, szarpnął silnie za kratę i zawołał gromkim głosem.

— Otworzyć bramę.

Ten sam żołnierz, którego książę wylał za wyrzucenie Toma, prędko otworzył bramę i jak tylko mniemany że brak ją przestąpił, dał mu takiego kulaka, że biedny książę upadł na ziemię.

Tłum gapiów, trzymający się w pewnej odległości, zaśmiał się hałaśliwie. Książę podniósł się w jednej chwili, czerwony od gniewu przyskoczył do żołnierza i zawołał.

— Jestem księciem Walii, jak śmiałeś mnie uderzyć, powiesz cię za to.

Żołnierz sprezentował broń i rzekł szydersko.

— Pozdrawiam waszą wysokość.

A potem dodał ze złością — wynos się, ty sfiksowany włóczęgo!

W tej chwili tłum, widząc żebraka, otoczył go, wołając ze śmiechem

— Miejsce dla jego wysokości, księcia Walii!

(d. c. n.)

## Dzienniczek Wąndzi.

(Dalszy ciąg).

*Hanoi w końcu lipca.*

Dwa tygodnie minęły od czasu, jak otwierałam twe kartki dzienniczku mój drogi. O! nie zapominałam ja o tobie, nie, ale tyle rzeczy zmieniło się od tego dnia, w którym ostatni raz pisałam te słowa; ojczuszek patrzył mi przez ramię. Nie spodziewałam się tego co się stało... O! Boże!... Boże!... miej litość nad nami!... Ale nie, nie będę płakała, mogłabym się znowu rozchorować, a potem ojczuszek tak prosił, aby się nie martwić i obiecywał nie narażać się lekkomyślnie i bez potrzeby. Gdzie ty teraz, gdzie ojczusku mój ukochany, ojczusku najdroższy! Nawet myślałam nie wiem, gdzie cię szukać. Tylko ta Matka Najświętsza, ta Panienska Częstochowska, której poleciłam ojca w każdej chwili dnia i godziny, Ona jedna wie co się z ojcem dzieje. Gdzie ty teraz ojczusku drogi? czy myślisz ty tam o nas? Czy jesteś tak zajęty wojną, że do pisania listu czasu znaleźć nie możesz? Czy też wiadomość od Ciebie nie doszła nas jeszcze, że okazyi nie ma, któraby nam list Twój przywiozła?

Dzisiaj dwa tygodnie, jak odjechał ojciec na wojnę do Chin. O! to były straszne, ale straszne chwile, któreśmy w tym dniu przeżyli. Po odjeździe ojca rozchorowałam się i całe 10 dni leżałam w łóżku.

Podczas tego sprowadziła się do nas p. Pellacot z dziećmi, bo komendant z p. de Recoblanc także odjechał z wojskiem. Przyszła do nas, abyśmy nie czuli się tak opuszczone okropnie, zaraz na drugi dzień rano po odpłynięciu wojska i pomagała mamusi pielegnować mnie. Wszystko stało się tak nagle i niespodzianie, że na kilka dni ustały wszelkie stosunki między nami a państwem S. aż tu dobra i myśląca o wszystkim pani Pellacot, posłała jednego dnia ordynansa do nich z zawiadomieniem, że ojczuszek odjechał, a ja jestem chora, więc niechaj się nie dźwiga, że mamusia nie przychodzi wcale ich odwiedzić.

Tymczasem służący powrócił z okropną wiadomością. Dom cały został opróżniony a służba powiedziała mu, że pani zrobiło się gorzej i trzeba ją było wziąć do szpitala, Pan S... zabrawszy mankę i dziecko udał się za żoną.



Jak tylko mogła najdłużej tała pani Pellacot przed mamusią tę straszną wiadomość, tem więcej, że gdy w kilka dni potem posłała znów po wiadomości do szpitalu, odpowiadano, że każdej chwili spodziewają się końca. Biedny pan S. tak się cieszył synkiem, i było to takie kochające się małżeństwo.

Przez cały czas mojej choroby i teraz jeszcze pani Pellacot jest dla nas prawdziwą Opatrznością, taka dobra, pełna poświęcenia, sama strapiona odjazdem męża i brata, znajduje zawsze jeszcze słów kilka pociechy dla mamusi. Niechaj jej to Pan Bóg nagrodzi i zachowa męża przy życiu i zdrowiu.

Tak mi ogromnie żal pani S., że bez płaczu myśleć o niej nie mogę, tak dawno się już z nią znamy, tyle okazywała nam serca i przyjaźni i teraz w ostatnich czasach i dawniej jeszcze, że wyobrazić sobie zupełnie nie mogę, aby ona miała umrzeć.

Pisała mamusia o tem wszystkiem do ojczuszka, bo już wiele, wiele razy pisałyśmy do niego długie bardzo listy, ale my napróżno wyczekujemy wiadomości z pola walki, nic, nic dla nas pocztą nie przynosi. O listy z Europy też coraz trudniej, bo z powodu wojny okręty płyną prosto do Schanghai i ztamtąd dopiero wysyłają listy tu do nas, naturalnie jeśli jest okazyja, o którą także coraz trudniej, bo wszystkie statki zajęte przewozem wojska i amunicji. Przez cały ten czas mieliśmy tylko dwa listy od cioci Tolci kilka tygodników i jeden z Gniezna, wszystkie inne muszą gdzieś tkwić w drodze. Ach! tak czekać i czekać, do tego w trwodze i niepokoju o życie drogich osób, to poprostu straszne.

Nocami budzę się i gdy słyszę wicher na dworze, wystawiam sobie zaraz okropną burzę, taką, jaką mieliśmy między Malakką i Sumatrą i zdaje mi się, że okręt, na którym ojczuszek pojechał, tonie, że się zanurza w wodzie, a ja ojca nigdzie nie widzę. To znów innym razem moja biedna stroskana głowa wyobraża sobie jakąś potyczkę, jakąś walkę zaciętą, lufy karabinów wymierzone w ojca i strach mnie taki ogarnia, że włosy z przerażenia stają mi na głowie. Chciałabym biedz, bronić ojca, zrywam się z łóżka i okryta potem padam znów na poduszki.

Już teraz nigdy, nigdy nie kładę się bez mojego różańca od cioci Kostuni, jak tylko się w nocy obudzę, a zdarza się to coraz częściej, zaraz się modłę i wzdycham tak cichutko, aby mamusia nie słyszała, bo ona także najczęściej spędza noce bezsenne. Czasem to już modłę się bez różańca, tylko własnymi słowami, jakie mi serce dyktuje: „O moja Najświętsza Matko! toć zmiłuj się nad nami, ratuj mego ojczuszka ukochanego, strzeż go, otaczaj tarczą swej opieki. Nie pozwól przecież, abym miała zostać sierotą, mniej nad nami zmiłowanie. My się tak kochamy, niechaj Cię to wzruszy Matko cudowna!”

I tak powtarzam w kółko, nieraz może bez sensu nawet, przeplatając słowa łzami i westchnieniem.

Chodzimy po domu jak błędni, wszyscy w jednakowej trwodze, bo wszyscy bez wiadomości. Ja bo już głupiej doprawdy. Nie mogę o niczem innym zupełnie myśleć i dla tego zabrałam się dzisiaj do pisania dzienniczka, aby trochę myśl, jeśli nie odwrócić, to przynajmniej zająć.

Przeglądając początkowe karty mego zeszytu napotkałam ten ustęp, w którym ciocia Kocia daje mi nauki na pożegnaniu w Marsylii, abym dodawała mamusi odwagi i nie myślała o sobie. O! Boże! Boże! Jakie ciocia Kostunia pokładała we mnie zaufanie wielkie, mówiąc do mnie jak do dorosłej, a ja, czy postępuję tak, jak jej to przyrzekłam! Ach! niestety, daleko jestem od tego. Bo nie tylko mamusi nie pocieszam, ale jeszcze dodaję jej kłopotu mojem zdrowiem, do zmartwienia, jakiego już i tak ma podostatkiem. Tak ojczuszek jak i ciocia Kostunia, mieli o mnie lepsze wyobrażenie, jak na to zasługuje.

Ale nie, nie powinnam zawieść ich oczekiwania. Muszę się stać godną miłości ojczuszka i umieć nad sobą panować. Zajmę się domem, dziećmi, aby odwdziżyć się pa-

ni Pellacot za to wszystko, co dla nas robiła. Namówię Jeanne, aby zaczęła pisać dzienniczek tak samo jak ja. Będzie to dla jej ojca bardzo miło, gdy powróci z wojny, znalazł opisaną każdą chwilę, jaką spędzili bez niego

Postaram się dużo pracować w ogrodzie w domu, aby nie mieć ani chwili czasu do rozmyślenia, bo co za myśli mogę mieć teraz, gdy po czterech tygodniach niepokoju literki jednej od ojca niema. O! Boże, Boże, zlituj się nad nami! Włożyłam chustkę w usta, aby mama nie słyszała mego płaczu. Ach! znowu wpadam w moje zwykłe złe myśli, zamiast ufać Bogu i Matce Najświętszej, jak to sobie po tyle razy przyrzekłam. Te karty, ze śladem łez na nich, będą świadczyły po długie lata o trwodze w jakiej żyjemy teraz.

Opiszę teraz porządnie cały przebieg, dzień po dniu, tych tygodni, od czasu jak odeszłam z ordynansem Lassal, którego ojciec zabrał z sobą, do pp. Pellacot, a rodzice pojechali na bal do generała.

Panią Pellacot z dziećmi zastałam w ogródku, czekano za mną z kolacją i powitano mnie bardzo serdecznie. Z pokoju dzieci usunięto łóżeczko Georges'a a wstawiono dla mnie inne, tak że miałyśmy z Jeanne pokój specjalnie dla nas. Ponieważ wieczór był chłodny, tego dnia poszliśmy jeszcze na daleki spacer, z którego powracając do miasta, wzięła nas pani Pellacot do cukierni, na doskonałe lody. O! to była prawdziwa radość, każde z nas zjadło po całej porcy i po kilka znakomitych ciastek. Pan de Recoblanc był także z nami i dużo ze mną rozmawiał, pytał mnie czy pilnie pisuję dzienniczek i obiecał przynieść kilka bardzo ciekawych szczegółów o religii anamitów. Następnego dnia rano spałam bardzo długo a obudził mnie Georges, który stanął przy mnie z ogromnym bukietem cudownych, świeżo w ogródku zerwanych kwiatów i wołał: „Wandzia, c'est pour ta petite maman.”

Wstawszy, biegałyśmy trochę z Jeanne boso po pokoju i ja jej opowiadałam, że w Król. lud wiejski latem chodzi boso, nie z biedy, ale tak sobie z przyjemności. Jeanne temu nie chciała wierzyć w żaden sposób i mówiła, że ja pewno z niej żartuję.

Pani Pellacot przyniosła nam do naszego pokoju śniadanie, wyborną czekoladę z biskopcikami, i powiedziała, że Lassal już po mnie przyszedł, więc zabrałam się zaraz i po wielu pożegnaniach i odprowadzeniu mnie przez dzieci aż za bramę, powróciłam do domu.

Zastałam rodziców jeszcze w łóżkach, więc usiadłam przy mamusi i słuchałam interesujących opowiadań o balu i zadawałam pytań bez końca. Generał był bardzo uprzejmy i gościnny. Osób było mnóstwo, przyjęcie świetne, toalety wspaniałe, ale ojczuszek mówił, że suknia mamusi była jednak najgustowniejsza i znać było, że wprost z Paryża pochodzi.

Podczas kolacyi siedziała mamusia przy komendancie L., który chociaż polak z pochodzenia, bo syn emigranta, wcale po polsku nie mówił i żonę miał Francuskę, więc mamusia była tem tak oburzona, że przestała z nim rozmawiać i zaczęła z sąsiadem z lewej strony mówić o Wystawie paryskiej.

Tak siedząc, gawędziłyśmy wesoło, a ojczuszek jeszcze ze mnie żartował, że takiej ślicznej paniutki jak ja, bardzo brakowało do świetności zebrania, i generał chciał nawet po mnie posyłać; ten ósmy cud świata, własność państwa „Janina” pragnąc zobaczyć. Ale ojciec mu powiedział, że panna Wanda bez psa nigdzie się nie rusza, a Kik jest bardzo uważający na formy i jako pies rasowy, etykietę wysoko ceni, więc mógłby się obrazić za tak późne zaproszenie, przeto generał dał pokój.

Kik obecny tym żartom, słysząc, że o nim mowa podniósł łeb do góry i swoje mądre oczy obracał to na mnie, to na ojca.

(d. c. n.)



## Płacz u zwierząt.

Śmiech jest wyłącznym przywilejem człowieka; płakać mogą i zwierzęta. Najłatwiej łzy ronią gatunki zwierząt przeżuwiających, stąd poszło we Francyi przysłowie: płacze jak cielę. U nas mówią: płacze jak bóbr. Łatwość wylewania łez zawdzięczają te zwierzęta dodatkowemu przyrządowi łzawemu, znajdującemu się u nich w jamie ocznej.

Myśliwi są często świadkami, jak płaczą jelenie i sarny przez psy pokasane. Lamartine, poeta francuski opowiada o zranionej przez niego sarnie: „położywszy łebek na trawie, spoglądała na mnie oczami pełnemi łez, a wejrzenie, w którym malowała się boleść i strach przed nadchodzącą śmiercią, wymowniejsze było od słów ludzkich.”

Dowodzą, że i niedźwiedź płacze, gdy czuje zgon blizki.

Girafa załzawionemi oczami spogląda na strzelca, który ją zranił i zdaje się czynić mu tem spojrzaniem łagodną wymówkę. W podobny sposób postępować ma łódź, oto co o nim mówi Gordon Comming, który na polowaniu zabił to zwierzę.

„Łzy ciekły mu obficie, od potu sierść jego popielatawa nabrała ciemno-niebieskiego połysku, smętne wejrzenie wyrażało żal za uchodzącym życiem.”

Psy płaczą i skowyczą gdy są na uwięzi a widzą odchodzącego pana swego.

Małpy również zalewają się łzami, gdy je straszą lub drażnią. Nawet zwierzęta ssące wodne są skłonne do płaczu. Delfiny przed zgonem mają łzy ronić i wydawać ciężkie westchnienia. Widziano fokę płaczącą, gdy drażnili ją majtkowie. Przyrodnicy: Geoffroy, Saint-Hilaire i Cuvier potwierdzają zeznania Malajczyków, że kiedy chcą pochwycić młode małpki, matka staje w ich obronie, sama oddaje się w niewolę a dzieci wówczas krzyczą i wylewają tyle łez, że je myśliwi zbierają i przechowują starannie, jako urok mający nas zmusić do pokochania kogoś wzajemnie.

Liczne są świadectwa o łatwości, z jaką płaczą słonie, gdy w pogoni widzą, że nie zdołają uciec przed nieprzyjacielem; wówczas zdaniem Tenenta, niektóre z nich stają nieruchomie, żal swój za utraconą wolnością wyrażając obfitemi łzami.

Oto jest lista zwierząt, u których zauważono zdolności do płaczu. Dalsze obserwacje niewątpliwie liczbę ich powiększą. Z czynionych dotychczas spostrzeżeń przekonano się, że pobudki do łez są te same u zwierząt, co u ludzi.

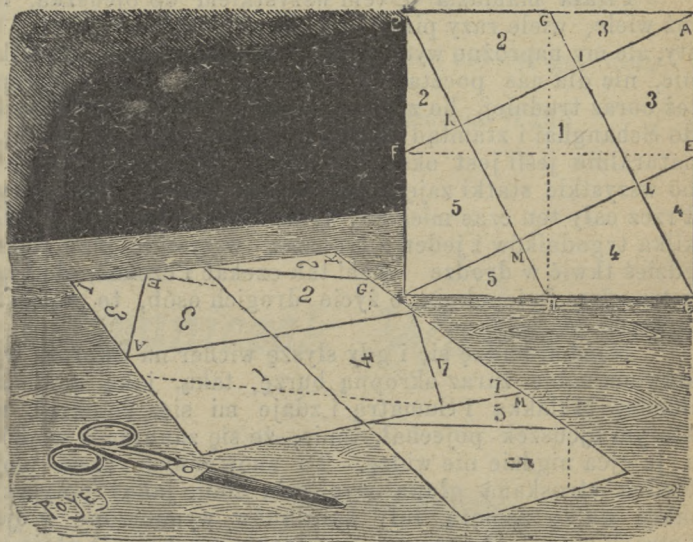
**600-letni jubileusz kompasu** obchodzony będzie w bieżącym miesiącu w Amalfi. \*) Za wynalazcę kompasu uchodzi Flavio Gioja, który żył około r. 1300 i urodził się jakoby w Pasitano pod Amalfi. W sprawie jego udziału w wynalezieniu kompasu zdania były przez czas długi po-

dzielone. Niewątpliwem jest, że ciążenie igły magnesowej ku północy było znane Chińczykom przed Gioją — przytwardzili oni igłę do powierzchni pływającego korka. Nowsze badania wykazały jednak, że kompas w tej postaci, w jakiej używany jest obecnie przez marynarzy, stanowi wynalazek Gioji.

## ZAGADKA.

*Pierwsze* jest to spółgłoska w każdym alfabecie,  
*Drugie* zaś samogłoska, nie bliska jej przecie.  
*Trzecie* krótki zaimek żeński rodzaju.  
*Wszystko* miasto i twierdza w afrykańskim kraju.

## ŁAMIGŁÓWKA GEOMETRYCZNA.



Jakż pięciu równych kwadratów, wyciętych z tektury lub papieru, ułożyć równy kwadrat, co pozornie jest rzeczą trudną, wskaże nam podana rycina. Jeśli zaś wszystkie te kawałki porozcinane zmieszamy i damy do ułożenia komuś nie znającemu rozwiązania, będzie to dla niego prawdziwą łamigłówką.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 31-go.

Zagadki: Ogień.

## Logogryfu:

- 1) Szmaragd. 2) Okulary. 3) Kongo. 4) Róg. 5) Aryanie.
- 6) Teheran. 7) Erie. 8) Sołtys.

Sokrates — Dyogenes.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Legenda o Najświętszej Pannie (z ryc.). — Wakacje w Warszawie, pogadanka o architekturze, przez Waleryę Marrené-Morzkowską. — Przygody królewicza Edwarda (z portretem). — Widok dawnego zamku w Krakowie (rycina). — Dzienniczek Wandy — Płacz u zwierząt. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Modlitwa dziecka, wiersz przez Zofię Mrozowicką. — Bąk (z ryc.) — Zuch, przez Maryę Bełdowską. — Królowa Macierzanka, przez Andrzeja Niemojewskiego. — Dzieci w podróży. — Łamigłówki i rozwiązania. Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Hrabina, powieść przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 31 Июля 1901 г. Właściciel Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



## Modlitwa Dziecka.



Matko Boska, proszę Ciebie  
Usłysz mnie małego,  
I we wszelkiej Ty potrzebie  
Broń mnie ode złego!

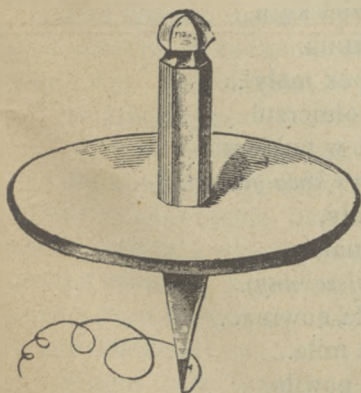
Daj mi rozum, daj mi wolę,  
Daj mi każdą cnotę:  
Niech nie rosnę jak kąkole,  
Lecz jak kłosa złote.

Daj mi zdrowie, miłość ludzi —  
Boć to skarbem w świecie —  
Lecz nad wszystko Ciebie trudzi  
Prosbą Twoje dziecię.

Byś Ty, Boga Matko miła,  
Potężna przez wieki,  
Mych rodziców osłoniła  
Tarczą Swej opieki!

*Zofia Mrozowicka.*

## B A K.



Krótki ołówek dobrze  
zaostrzony przesuwamy  
przez środek jakiegoś kółka:  
bądź drewnianego,  
bądź tekturowego. Otwór  
w kółku najlepiej zrobić  
świderkiem.

Potem na rozłożony na  
stole arkusz białego papie-  
ru puszczamy takiego bą-  
ka; ołówek posuwając się w  
różne strony, kreśli roz-  
maite figury, które zostają  
na papierze.

*Dar.*

## ZUCH.

— Ach, jaka to straszna liszka! — wykrzyknęła  
Ludka — chodźmy stąd prędko, Władziu.

— Gdzie? jaka liszka.

— O tam, na gałązce, widzisz ją? Uciekajmy, bo  
ja się boję.

— Eh, ty wszystkiego się boisz — rzekł lekceważą-  
co Władzio — powinnaś brać przykład ze mnie, tatuś  
zawsze mówi, że jestem zuch.

— Cóż robić, ja tak nie potrafię.

Władzio był rzeczywiście odważnym chłopczykiem,  
nie bał się chrabąszczy, liszek, żab i t. p. stworzeń, umiał  
włazić na drzewa, biegał tak prędko, że trudno go było  
dogonić.

Ludka podziwiała zawsze te zalety braciszka.

— Czemu to ja nie jestem takim zuchem — myśla-  
ła nieraz z zalem.

Ale cóż, kiedy strach był silniejszy od wszystkiego  
i gdy tylko ujrzała liszkę, a broń Boże żabę, uciekała  
coprędzej w przeciwną stronę.

I teraz także pobiegła na ganek, gdzie siedziała  
trzyletnia siostrzyczka Tosia i zaczęła się z nią bawić,  
w chwilę potem przybiegł do nich Władzio z liszką  
w ręku.

— Władziu, co ty niesiesz? — zawołała Ludka.

— Liszkę, patrz, jak ładnie chodzi.

I mówiąc to położył liszkę na sukience Tosi, która  
krzyknęła z przerażenia.

— Zabierz ją, zabierz, widzisz, że Tosia się boi —  
mówiła żywo Ludka.

— To niech się nie boi, muszę ją nauczyć, żeby nie  
wyrośla na takiego tchórza, jak ty.

— Robak idzie, robak — woła Tosia, zanosząc się  
od płaczu.

— Zdejmże ją Władziu, prędzej!

— Ani myślę.

— Jakiś ty niegodziwy!

Władzio rozśmiał się tylko i wbiegł do pokoju.

Tosia płakała coraz mocniej, biedna Ludka obejrza-  
ła się dokoła, niema nikogo, a Tosia może zachorować  
z przestachu i przewyciężając obawę, pochwyciła szyb-  
ko liszkę i odrzuciła daleko.

— Nie płacz, Tosiu, nie płacz, już niema robaka —  
mówiła, tuląc rozplakaną dziewczynkę, a gdy Tosia uspo-  
koila się trochę, zaprowadziła ją do mamy.

Jak myślicie, czy Ludka nie była zuchem?

*Marya Beldowska.*



Andrzej Niemojewski.

# KRÓLOWA MACIERZANKA.

(Dalszy ciąg.)

**Królowa** (*do gońca*). O żołnierzyku!  
Wierzę w twą wierność, siadaj na konia,  
Bieżaj przez lasy, bieżaj przez błonia,  
Przy słońca blaskach i gwiazd promyku!  
Daj list królowi, lecz milcz z kolei  
I nie powiadaj tutejszych dziei;  
Bo nie wesołe są nasze dzieje...  
Nie stawaj nigdzie, bież dniem i nocą!

**Goniec.**

Spełnię co każesz z Bożą pomocą. (*Wychodzi*).

**Królowa.**

Spełnisz, tak, spełnisz... I jam spełniła,  
Com była winna... Odbiega siła...  
Słabo mi...

**Ochmistrzyni.**

Biada! Królowa mdleje!

(*Damy dworskie chwytają królowę na ręce*).

## ODŚLONA III.

(*Bór. Karczma. Dziewanna przebrana za karczmarkę woła ku górze*).

**Dziewanna.**

Kra - kra, orlico!  
Spójrz w dół błyszczącą źrenicą!  
Kra - kra! Kra - kra!  
Siostrzyczko - orliczko,  
Pochwyciłaś jej dzieci?

**Głos orlicy** (*z góry*).

Kra - kra! Kra - kra!  
Ha, nie wszystkie pochwyciłam,  
Kra! jednego nie zdążyłam!  
Kra - kra! Kra - kra!  
Wezwij wichru i zamieci,  
Bo do króla goniec leci,  
Kra - kra! Kra - kra!

**Dziewanna.**

Hej, ów goniec nie doleci,  
Próżno konik w biegu parska,  
Próżno mina gońca dziarska!  
Wiejcie wichry, szumcie bory,  
Niech się zmacha konik skory,  
Oślepiacie błyskawice,  
Prosto w oczy, prosto w lice!

(*Poświst wichru, błyskawice i grzmoty. Słysząc wołanie gońca*).

Hop, hop, tędy żołnierzyku!  
Hop, do karczmy nieś koniku!

(*Wjeżdża goniec*).

**Goniec.**

Czy tu karczma?

**Dziewanna.**

Niedaleczka

A na progu karczmarczka!  
Słodki miodek ma karczmarka  
A w usługach taka szparka!  
Żołnierzyku, zsiądź z konika,  
Karczmarczka drzwi odmyka.

**Goniec.**

Ach, surowy rozkaz wzbrania  
Pohulanki i stajania  
A tu burza i ciemnica  
I co chwila błyskawica.  
Daj no miodu!

(*Zasiada, przywiązuje konia do palika. Dziewanna stawia miód na stole i przepija do niego*).

**Dziewanna.**

Znać żołnierza!

Pij no, zuchu! I ja piję,  
Wszakże pono się raz żyje!  
Co tam kryjesz wśród puklerza?

**Goniec.**

Aha, jużes wywachała? (*Pije*).  
Dobry miodek!

**Dziewanna.**

Bogu chwała,

Że przynajmniej ci smakuje!

**Goniec.**

Złoty miodek! Czy smakuje?  
Całą beczkę wypompuje!

**Dziewanna.**

Prawy żołnierz nie dolewa!

**Goniec.**

Dobry miodek, lecz rozgrzewa.

**Dziewanna.**

Zdejmij puklerz, pij, kochanie,  
Nic się tobie tu nie stanie,  
Cztery mile naokoło  
Żywej duszy!

**Goniec** (*podpił sobie*).

Hej, wesoło!... (*po chwili*).

Oj, coś mi się język płąta...  
Głowa cięży... Na chwileczkę  
Zdrzemnąłbym się... tak — troszeczkę...  
Karczmaruńciu, udziel kąta...

**Dziewanna.**

Jeszcze wychył kubek mały!...

Co? Już usnął? O żołnierzu!

Jest, jest liścik, jest w puklerzu!

(*Dobyła list, czyta i kiwa głową*).

Doskonały, doskonały,

Lecz napiszę doskonalszy.

(*Drze list i pisze inny*).

„Królu, panie... Zła nowina...

Bo twa żona... żona miła...

Wczoraj wieczór ci powiła

Zamiast córki, zamiast syna...

Dziecię jakieś w kształcie zwierza,

Pół ryby, pół nietoperza.”

Śmieje się, wkłada list do puklerza a puklerz nasadza na głowę śpiącemu gońcowi).



Lećże teraz z listem żwawo,  
A powrócisz z wieścią krwawą!  
Kra - kra! Siostró! Zdradę wijmy!  
Zemstę snujmy! Zemstą żyjmy!

(d. c. n.)

## DZIECI W PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg)

Wiatr dmie taki silny na Trzech Koronach, że wszyscy muszą przytrzymywać kapelusze. Janek skarży się, że nie może utrzymać swojego, a na to Tadzio z bardzo poważną miną, podnosi spory kamień z ziemi i kładzie go na głowę Janka.

— Teraz trzyma się dobrze, co? — pyta zdumionego malca.

Dunaj tymczasem kręci się na wszystkie strony, odpędzany przez górali i obudwóch tatusiów, którzy się obawiają, żeby nie zepchnął które z dzieci w przepaść, ale niełatwa sprawa z Dunajem. Umyka, gdy go chcą pochwycić za obrożę, przysiadła, waruje, kręcąc ogonem, i powraca w chwili, gdy go się najmniej spodziewano. Jednym słowem, niepotrzebny ten towarzysz maćci wszystkim spokój i sprawia dużo kłopotu.

Lecz wkrótce w inną stronę zwracają wszyscy uwagę. Poniżej szczytu Trzech Koron, na którym stoi całe towarzystwo, sterczy prostopadła prawie, naga skała, podobna kształtem do głowy cukru. I na samym tym skalistym czubku, ukazuje się mały góralik, który dla lepszego popisu staje na głowie, podpierając się rękami. Popis ten robi takie wrażenie, że patrzący zasłaniają oczy i wołają na malca, żeby dał pokój i zeszedł coprędzej, to coś dostanie.

Zachęta poskutkowała: chłopak ześlizgnął się ze skały jak wiewiórka i przybiegł po zapłatę, ale natychmiast na tym samym szczycie pojawił się drugi malec, i rozpoczął takie same sztuki jak poprzedni.

— Jak się zwiedzą panoczku, że dajecie po dwie szóstki, to się tu zleci cała gromada i nie skończycie do wieczora — ostrzega, śmiejąc się góral przewodnik.

Pan Nałęcz, uznawszy słuszność uwagi, woła donośnym głosem, że żadnemu więcej nie da ani centa, i nakazuje zejść natychmiast ze skały.

— Dlaczego oni to robią? — pyta zdumiony Janek.

— A to biedni paniczku — objaśnia góral.

Jankowi żal się robi tych biedaków, i idzie do mamy prosząc o pozwolenie dania drugiemu góralikowi dwudziestu centów z własnej swojej kasy — na co mama naturalnie zezwala, zapowiadając tylko malcowi, żeby już żaden z jego towarzyszy nie próbował takich sztuk, bo nic nie dostanie.

Potem całe towarzystwo schodzi z wierzchołka na łączkę, gdzie już górale rozłożyli się z koszami i samowarem. Zaczyna się rozpakowywanie prowiantów, układanie ich na talerzach, przyczem ciągną baczność trzeba zwracać na Dunaja, objawiającego niepomierłą radość na widok tych przygotowań.

Nietylko Dunajowi wesoło: wesoło jest wszystkim, i śniadanie jedzone na trawie, smakuje wszystkim wyśmienicie. Niebo pogodne, słońce jasno świeci, powietrze świeże, widok prześliczny, i wszyscy w doskonałych humorach... Janek ogłasza, że chciałby zamieszkać tu na zawsze, na Trzech Koronach, bo na całym świecie niema piękniejszego miejsca.

— A co byś tu jadł, i co byś robił, jak śniegi zasypią góry w około? — zapytuje Tadzio i ostudza jego zapał.

Po skończonem śniadaniu, idą wszyscy na szczyt, dla nacieszenia się raz jeszcze wspaniałym widokiem, zanim nadejdzie chwila powrotu, o której dzieci myślą z żalem. Proponują nawet, aby dziś nie wracać, tylko przepełnić noc na Trzech Koronach i czekać wschodu słońca: ale rodzice nie chcą nawet o tem słuchać, obawiając się zimnej nocy. Aby zaś pocieszyć dzieci, obiecują schodząc z Trzech Koron, zboczyć z drogi i zwiedzić ruiny na skale, zwane zamkiem Świętej Kunegundy, gdzie według podania schroniła się nieszczęśliwa królowa, uciekając przed Tatarami i przebyła do końca tatarskiego najazdu.

Projekt został radośnie przyjęty: mamy pozostają przy koniach i mają czekać na polanie, na której stoją wózki, a dzieci pod opieką ojców z jednym góralem przewodnikiem wyruszają wesoło.

Ale nie każdy zamiar, choćby najlepszy, daje się wykonać. Tak się też stało i tym razem; a z czyjej winy, i z jakiego powodu, dowiecie się w następnym rozdziale.

### III. S y n e k.

Spuszczają się zwolna po stromej pochyłości, Dunaj rzuca się, szczerkając zajadle — a w zaroślach przy dróźnie nagle rozlega się przeraźliwy krzyk dziecka i łoskot spadających kamieni...

Wszyscy stanęli przerażeni. Najpierwszy oprzytomniał Tadzio i poskoczył, skąd krzyk dochodził, za Tadzkiem góral. Po chwili z gęstych zarośli wynurzył się Tadzio, bez kapelusza, niosący na ręku coś bardzo małego. Było to trzyletnie może dziecko, czarne, z wielką czupryną, podobniejszą do kołtuna, niż do włosów — okryte brudnym, dziurawym łachmanem, związanym u szyi, a stanowiącym całe jego ubranie. Z czoła dziecka płynęła krew, i jedna nóżka była też skrwawiona. Za Tadzkiem ukazał się góral z Tadzowym kapeluszem, odpędzający czekającego i wyskakującego Dunaja, sprawcę całej awantury. Bo on to rzuciwszy się w gąszcz, przewrócił kryjące się tam dziecko, które runęło głową na dół ze znacznej wysokości. I jeszcze prócz tego, Dunaj dopędziwszy je w kilku susach, w najlepszych zamiarach czułego psiego serca, uchwycił je za nóżkę, by mu pomódz do powstania.

Naturalnie, nadbiegający Tadzio dopiero pośpieszył ze skuteczniejszą od Dunajowej pomocą, wziął omdlałe dziecko na ręce i przyniósł je na drózkę, gdzie wszyscy czekali.

I zamiast do zameczka świętej Kunegundy, trzeba było zawrócić do obozowiska na szczycie góry, gdzie mamy pakowały jeszcze do koszyków talerze i szklanki. Pan Korwin poszedł do restauracji prosić o sprzedanie ręcznika lub ścierki i kawałka mydła, bo nie sposób było



opatrzyć ranę dziecka bez obmycia go choć trochę, tak bardzo było brudne.

Dzieci przestraszone i wzruszone, straciły zupełnie humor, spoglądały z niepokojem na powracającego ojczulka, za którym góral niósł wielką miskę wody.

— No! Janek zawsze dzielny! — zaczął tatuś żartobliwie. — Upolował nam zwierzynę z pomocą swego przyjaciela, Dunaja, i to nielada jaką zwierzynę!

Dzieci ciekawe były dowiedzieć się coś więcej, ale nie śmiały pytać, a mamy zajęte były opatrywaniem główki dziecka, które oblane wodą, odzyskało przytomność i broniło się z całych sił. Dopiero na widok kubka mleka i kawałka chleba, przyniesionego przez górala, uspokoiło się nagle; zaśmiały mu się oczki, i pomimo płochliwości dzikiego zwierzątka, rzuciło się na jedzenie z chciwością świadczącą o wielkim głodzie. Bo też to była nędza, o jakiej dzieci nie miały pojęcia!

Dziecko to błąkało się po Krościenku i okolicznych górach, żywiąc się tem co znalazło na śmietnikach i co mu rzucono z restauracyi na Trzech Koronach, a trwało to już od kilku tygodni, od śmierci matki, cyganki, która nie mogła podążyć za swoją bandą i umarła w Krościenku.

(d. c. n.)

### ZAGADKA.

Aż dwoje zwierząt dosłyszysz w mem brzmieniu,  
Lecz zwierzęcego nie dojrzyysz w istnieniu.  
Bo jestem kwiatem w krzyżowych rodzinie,  
Co z barw uroczych i zapachu słynie.

### ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

p. Jadzię i Stefę L. dla Czyt. Wieczorów.

- 1) Samogłoska.
- 2) Zaimek nieokreślony.
- 3) Drzewo iglaste.
- 4) Drzewo liściaste.
- 5) . . . . .
- 6) Naczynie do wody.
- 7) Pożywienie znane w starożytności.
- 8) Przysłówek przeczenia.
- 9) Samogłoska.

Rząd środkowy oraz środkowe litery złożyć powinny nazwę państwa w Europie.

### ROZWIĄZANIA DO Nru 31-go.

Metagramu: Łania, kania, bania.

### Łamigłówki w kwadracie:

R	e	g	a	t	y
T	e	r	e	s	a
B	i	b	l	i	a
Ś	w	i	e	c	a
K	a	c	z	k	a
B	i	r	u	t	a



## Skrzynka do listów.

Listy dwóch siostrzyczek: Paproci i Paprotki z gór Świętokrzyskich, zachowamy dla Jaskółki, która, ujęta dowodami ich szczerej sympatii, nie omieszkła na tak uprzejme odezwy odpisać i zachęcić do dalszej z nią korespondencji. Przyjemną nam była wiadomość, że lubicie czytać „Wieczory” i z upragnieniem oczekujecie dnia sobotniego, w którym dochodzi was pismo nasze. Możecie też i z nami wejść w bezpośrednie stosunki listowne, tylko „Kwiat Paproci” obrać zechce inny pseudonym, bo tym posługuje się już dawniej inna nasza korespondentka.

Maryli z nad Narwi. Roboty przysłane na konkurs nie bywają zwracane, są one bowiem przeznaczone dla ubogich dzieci w ochronkach, Szpitaliku dziecięcym i t. p. Najodpowiedniejsze są sukienki, kaftaniki lub koszulki z materiałów tanich, wyszywanymi zaś wstawkami na tiulu, ozdobić tylko można bieluzę zbyt kłopotliwą. Obmyśl sobie zatem kochana Marylko, praktyczniejszą robótkę, a doznasz niezawodnie zadowolenia, jakie nam daje spełnienie dobrego uczynku.

Wesoło i nie bez korzyści spędzasz wakacje Stasiu R., skoro, jak nam piszesz, zwozisz snopki do stodoły, a czterema końmi zręcznie nauczyłeś się kierować. Taka praktyczna szkoła gimnastyki, wyrabiając siły fizyczne, inne jeszcze zapewnia ci korzyści: bliższego poznania pracy rolnika; widząc, ile muzułu kosztuje, jak ciężko pod palącymi promieniami słońca zboże kosić, żąć zbierać, wiązać w snopki, ustawiać w kopy i t. d.; pracę tę więcej nauczysz się cenić, a przestając z pocziwymi wieśniakami, dowiesz się, jak życzliwie obejść się zjednywa się ich serca.

Stefanowi Zarz. donosimy, że sprostowaliśmy omyłkę i „Wieczory” od 1 go lipca r. b. już wysłane.

Żądane przez Romana Olędz. dwa numery „Wieczorów” posłane, a należność za nie lepiej odesłać markami pocztowymi, gdyż nie warto brać na tak drobną sumę zaliczenie pocztowe. Kartę z widoczką, stosownie do życzenia, zachowamy dla Jaskółki.

Piszesz nam Rybko złota, że uciekłeś z pokojowego akwarium, gdzie ci było ciasno i duszno, popłynęłaś aż do Niemna a zachwycona malowniczością jego brzegami, prosisz o wiadomość, jak dawno poznana została własność lecznicza źródeł w Druskenikach, gdzie obecnie przebywasz dla letniego wypoczynku. Jak wieść niesie w XVII wieku miały tu już istnieć warzelnie soli i stąd od słowa litewskiego Druskus (warzelnia) miejscowość ta Druskenikami nazwaną została. Wody te jednak w zeszłym dopiero stuleciu przez chorych zaczęły być odwiedzane. Okolice Druskenik pełne wspomnień z dalekiej przeszłości; w tych stronach bowiem Krzyżacy staczali częste bitwy z pogańską Litwą. Według podań ludu, miało się tam znajdować miasteczko Rajgrod, które zapadło się w ziemię. O tych ciekawych stronach udzieli nam bliższych szczegółów.

### Dobre rozwiązania i zadania własnego układu nadesłali:

Kwiat Paproci, Paprotka z gór S-to Krzyskich, Bławatek, Maryla z nad Narwi, Wróżka szczęścia, W. Pozowski, Wercia M. i Frania Kom. Ostatnia wybrała tematy do szarad niedawno drukowane już w „Wieczorach,” przy łatwości jaką widocznie do tego posiada, nie trudno jej będzie inne ułożyć.

### NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Ania i Lucja G. rub. 6. — Władzio Długolecki kop. 75. —

Na wpis dla uczniów: Bezimiennie rub. 2. Na nędzę wyjątkową: Tadzio, Władek, Toka i Musia Hołowko rub. 1 kop. 25.